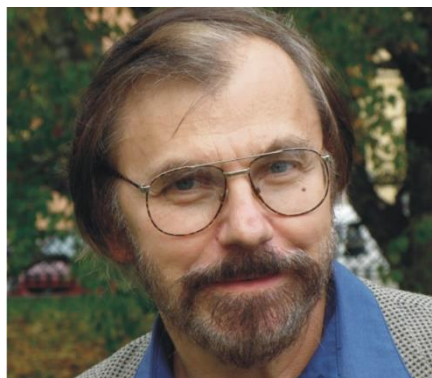


Listy do Pani A. (159)

Lingwistyka
stosowana

Droga Pani!

Zastanawiam się, czy słuszny jest podział na ludzi i zwierzęta. Tworzymy ten sam świat, a wyróżnik „zwierzę – człowiek” oznacza tyle, co „dwunożny golas” i „futrzak czworonożny”. To są przecież zupełnie odrębne światy wewnętrzne, choć istnieją w tej samej rzeczywistości. Czworonogi posługują się innym językiem, który jeszcze słabo rozumiemy. A to wcale nie znaczy, że są jakimiś żywymi maszynami, które nie mają uczuć; że nie istnieje żadna komunikacja pomiędzy dwunożnymi a czworonożnymi. Temu, jakże mi bliskiemu problemowi, poświęca Edward Zyman miejsce w swojej poetyckiej książce „Inaczej nie będzie nasyczone...”

To świetny tom. Powraca w nim poeta do dzieciństwa, zastanawia się nad życiem i jego sensem, stara się uchwycić naszą codzienność. Jednak najbardziej przemówił do mnie kończący tom cykl wierszy cykl „Zapiski z innego świata”; świata widzianego oczami psa, który obserwuje człowieka, „mówi” do niego, ale zupełnie innym językiem. Przecież w komunikacji ważna jest również mowa ciała – gest, spojrzenie, ruch. Tylko my tego nie dostrzegamy, a jeśli już, to nie staramy się za bardzo zrozumieć, co też nam ten najlepszy przyjaciel usiłuje przekazać. W tej chwili pisząc „usiłuje”, popełniłem literówkę, którą zaraz poprawiłem. Ale „usiłuje” nie byłoby w tych psich monologach od rzeczy. Widziałem taki mem: pies wacha drugiego pod ogonem. I podpis taki, proszę wybaczyć, że zacytuję dosłownie: „Badania amerykańskich naukowców dowodzą, że pies wachając dupę innego psa przez 30 sekund otrzymuje więcej rzetelnych informacji niż widz TVP oglądając całe wydanie Wiadomości”. Dużo w tym humoru, jeszcze więcej racji. Telewizja kłamie, dupa nigdy! Nie znaczy to jednak, że sam chciałbym w ten sposób pobierać wiadomości... W każdym razie to wszystko pokazuje, jak mało znamy ten odmienny świat, jak mało staramy się go coraz lepiej rozumieć. A dla naszego psa to my jesteśmy jakimiś dziwolągami, niezrozumiałą,

pozbawioną prostej logiki istotą, wyrzucającą z ust jakieś szeszczące dźwięki. To znakomita poetycka inspiracja, którą Edward Zyman potrafił szeroko i dowcipnie zdyskontować. Bardzo Pani ten tom polecam. Jest nie tylko świetny, ale wyjątkowy.

W językach naszych futrzaków nie ma chyba przejęzyczeń, choć wiele też zależy od intonacji dźwięków i sposobu ich wydawania. Tak jest również w azjatyckich, co mi tłumaczył Lam Quang My. Ale i w polskim też.

Dziadek (ten drugi) mojej wnuczki jest dyrygentem, prowadził kiedyś chór Wojska Polskiego. A Iga nie wymawiała „r”. Ktokolwiek przyszedł, pytał z diabelskim uśmiechem, czym zajmuje się dziadek. A mała Iga z całą powagą mówiła „mój dziadek dijiuguje chójem”. W podobny zresztą sposób zareagowała kiedyś we wczesnym dzieciństwie Ania będąc w bazylice trzebnickiej. Odwróciła się, i zafascynowana wielkim, chórem powiedziała na cały głos, „ale wielki...” Też jeszcze nie mówiła „r”, tylko „j”. Pewnie babki kościelne się zgorszyły, albo... wróciły do wspomnień. Nawet jeszcze dziś, rzadko bo rzadko, ludzie pytają Anię czy ma już skończone osiemnaście lat. Bardzo młodo wygląda, wymawia „r”, a ja się cieszę, że na dłużej starczy... Inne rodzinne dziecko na pytanie, czym się zajmuje wujek, powiedziało, że jest on „karykularzystą”, co miało znaczyć, że rysuje karykatury. Podobnie dzieje się i w innych językach, a może i w zwierzęcych. Ale mowa czworonogów staje się dla uważnych obserwatorów czy badaczy coraz bardziej dostępna.

Mało siedzę w internecie, ale czasem trafiam na coś szczególnie mnie interesującego. I tak znalazłem tam wiadomość o swojej, niestety już nieżyjącej, lektorze angielskiego, z którą mieliśmy zajęcia na studiach, Halszkę Szołdrską. Była córką Jana Szołdrskiego i Elżbiety z Czartoryskich. Z pewnością Pani o niej słyszała. Lubiliśmy ją wszyscy. Traktowała studentów po koleżeńsku, wesoła, dowcipna, nie stwarzająca niepotrzebnego sztucznego dystansu, pełna kultury, jakiej dziś się już prawie nie spotyka. Potrafiła też być dobrotliwie złośliwa. Bywaliśmy u niej w domu, a ona także uczestniczyła w naszych, studenckich spotkaniach alkoholowo-towarzyskich.

Wszyscy jednak starali się trzymać fason, aby w jej obecności nie wypaść z formy. Raz tylko przy niej zasnąłem, ale przynajmniej nic nie gadałem. Była jednocześnie wysportowana, żadne dyscypliny nie były jej obce. Którejś zimy przyszliśmy do niej, w drzwiach zastaliśmy kartkę „ślizgam się za domem”. Bardzo nas to rozbawiło na zasadzie skojarzeniowej.

Materiały o Niej, to było dla mnie wzruszające, niespodziewane znalezisko internetowe, przynoszące po latach wiele wspomnień. Aż trudno uwierzyć, że w młodości miało się tyle szczęścia, by spotkać takich ludzi jak P. Halszka. Ale wtedy też było się za głupim, aby to w pełni doceniać. A dziś – „to se ne vrati”...

O tym, co było kiedyś, może nie aż tak dawno jak tamto studenckie wspomnienie, rozmawialiśmy z Leszkiem Żulińskim. Obaj z wielkim sentymentem wracaliśmy do czasu

naszych poetyckich debiutów, do spotkań w Domu Literatury, albo „Miodosytni” na Koszykowej w Warszawie, czy późniejszych „konferencji” z nieodżałowanym Janem Stanisławem Kiczorem, świetnym poetą i przyjacielem. Leszek zamawiał torcik bezowy, a my z Janem Stanisławem pół litra i po tataraku z jajkiem i cebulką. To także już się skończyło.

Nasza rozmowa z Leszkiem była niestety zaprawiona smutkiem. Oto zmarł poeta i redaktor Lech Marek Jakób. Znałem go, ale nieco mniej niż Leszek, który był z nim bardzo przyjaźniony. Na naszych oczach robi się coraz bardziej wokół nas pusto.

Dostałem książkę „Współczesny Lublin poetycki” pióra Waldemara Michalskiego. Znalazły się tutaj dwadzieścia cztery literackie, najbardziej indywidualne sylwetki autorów, które są albo były związane z Lublinem. I tak obok klasyków, jak Józef Czechowicz, Józef Łobodowski, Kazimierz Andrzej Jaworski, są tutaj szkice o twórczości innych wybitnych poetów, że wspomnę tylko Elżbietę Cichłą-Czarniawską, Urszulę Gierszon, Wacława Oszajcę czy Edę Ostrowską. Napisał Waldemar Michalski świetną, przekrojową książkę; znakomite eseje wprowadzają w klimat lubelskiej, przebogatej, acz w pełni niedocenionej literatury.

Niech Pani sobie wyobrazi, że wreszcie wziąłem się na odwagę i zadzwoniłem do Józefa Hena. Ostatnio widzieliśmy się na spotkaniu w 2019 roku. Obiecywałem, że zadzwonię. Nie dzwoniłem w obawie, czy w czymś nie przeszkodzi, czy nie zatelefonuję nie w porę, czy nie zakłóć spokoju. Odkładałem to i odkładałem. Magdalena Hen mówiła mi, że nie, że bym śmiało dzwonił. A ja, mając wyrzuty sumienia, milczałem dalej. Wreszcie kilka dni temu uspokoił mnie syn Maciej Hen, także wybitny pisarz, że ojciec będzie rad. A więc zadzwoniłem. Rzeczywiście Józef Hen się ucieszył, odbyliśmy ciekawą, przyjacielską rozmowę. Przyrzekłem, że za pewien czas znowu się odezwę. Teraz już nie będę miał aż takich obiekcji. Wskrzesił się czas dawnych spotkań, rozmów, wywiadów...

Obejrzałem w telewizji beatyfikację m. Elżbiety Czackiej i kard. Stefana Wyszyńskiego. Uroczystość to wypadło. Potem w programach nic, tylko wspominki. Dzisiaj kardynała postrzegam jako hieratycznego dostojnika, choć pamiętam jego bardzo miłe spotkania ze studentami. Tylko gdy mówił z ambony: „drogie dzieci boże, dzieci moje”, widziałem w tym pewne, dziś anachroniczne, rozgraniczenie: „ja, autorytet, a wy posłuszne dzieci”. Obce to jest dzisiejszej retoryce.

Życzę Pani pogodnej złotej jesieni oraz wiele nadziei na bardziej stabilny i przewidywalny świat –

Stefan Jurkowski

